

GNAMY NA RUDAWY, PĘDZIMY NA RĘDZINY

Wyruszyliśmy z Kalisza, z żoną Zofią, piątkową południową godziną, 2 lipca 2010 roku, obierając kierunek na Sudety Zachodnie.

Coś mnie podkusiło, by Wrocław ominąć od północy.

Do Rawicza jazda bez zastrzeżeń. Dalej już tylko jako – tako.

Zwiedziliśmy, lepiej niż pobieżnie kilka wsi, pojeździliśmy sobie trochę po Legnicy.

Pocieszałem Zofię, że pewnie nigdy już tu nie wrócimy i podziwiamy prastare piastowskie Ziemie Odzyskane.

Wreszcie wjechaliśmy na terytorium gminy Marciszów. Już jesteśmy blisko. Dwóch przepytanych tubylców, w tym jeden wędkarz i dojechaliśmy do Wieściszowic.

Też nie tak od razu, ale w końcu zaparkowaliśmy przy płocie gospodarstwa agroturystycznego państwa Gicalów, pod oryginalnym szyldem „Zacisze”.

To tutaj polecił nam się stawić kierownik wyprawy, Jerzy Matyjasz. Byliśmy z Zosią szczęśliwi, tym bardziej że nieograniczony wybór miejsc do spania, bo reszta koleżeństwa w drodze.

Gospodarstwo „Zacisze” malowniczo rozpostarte na północnym skłonie Wielkiej Kopy, a na tym skłonie pięknie usytuowane ławy i stół biesiadny, skąd widok na wieś z dominującą wieżą poewangelickiego kościołka.

Wieczór upłynął wśród gwaru i uzasadnionych zachwyty kaliszan nad krajobrazem miejscowym, szczególnie w trakcie wykwintnej plenerowej kolacji, z zapasów własnych.

Nad ranem, po cichutku o brzasku wybraliśmy się z Zosią na spacer. Nawiedziliśmy kościółek i okoliczny cmentarz. Pokłoniliśmy się wszystkim którzy byli przed nami.

Sobotni poranek zainaugurowaliśmy niemniej wykwintnym śniadaniem, po którym wypadało wyruszyć w góry.

Przejrzyste powietrze i wschodzące słońce zwiastowały lipcowy upał.

Na szlak wyszli: Ludmiła Kasper, Milana i Jacek Czechowscy, Tomasz Gorzelany, Zbigniew Kościelak, Zofia i Adam Borowiakowie oraz Anna i Jerzy Matyjaszowie.

Na początek jeziorka, Purpurowe, Błękitne i Szmaragdowe powstałe w wyrobiskach dawnej kopalni pirytów.

Dalej z marszu zdobyliśmy Wielką Kopę. Było niezłe. Szczyt jak się patrzy, skalisty i szpiczasty, z przynależnym widoczkiem.

Jako turysta okolicznościowy – chałupnik, sądziłem że jeszcze wcale nie małe zejście i będzie można oddać się błogiemu podziwianiu przyrody, w inteligentnym oczywiście towarzystwie, w zaciszu „Zacisza”.

Niestety pierwszy zawód. Zastępowy Matyjasz zarządził przejście Przełęczą Rędzińską i atak na Wołka.

Po drodze Zbyszkowi któraś z nóg odmówiła i Zosia postanowiła towarzyszyć koledze w powrocie do bazy. Był to ostatni moment na bezpieczne zejście ze szlaku bez mapy i przewodnika.

To, że moje obie nogi zaczynają odmawiać nikogo nie interesuje. Idziemy na tego Wołka. Gorąc coraz większy, picia coraz mniej.

Na czele wyrywa, bezwzględny pierwszy przodowy kierownik wyprawy Jerzy M.

Staram się nie stracić z oczu, tak ważnej dla mnie osoby. Wierzę, że wie gdzie jesteśmy. Pot oczy zalewa.

Wreszcie jakiś potok. Podejmuję próbę obmycia i zbawczej ochłody. Kamienie mokre i śliskie jak się patrzy. Rozkrok, skłon i boska ulga. Tylko co dalej – kręgosłup przypomniał o sobie. Przecież nie będę prosił o rękę. Szczęśliwie wyszedłem w całości.

Wreszcie siedzimy na Wołku. Każdy szuka cienia. Pytam się Matyjasza co to za miejscowość tam w oddali.

To Jelenia Góra, usłyszałem.

Ożywiłem się i wypowiedziałem kilka ciepłych uwag o walorach tego pięknie położonego miasta, zaznaczając delikatnie że moglibyśmy skorzystać z tamtejszej stacji kolejowej.

Niestety, nie zrobiłem dobrego wrażenia. Idziemy dalej. Zostaliśmy podprowadzeni pod Starościńskie Skały na których to miał kolega Jerzy w dawnych studenckich czasach uprawiać się do kamieniarskich sportów.

Nawet nie próbowano mnie namawiać na wejście. Z dołu też wyglądały imponująco. Nie zawsze musi być z góry.

Ostatni wyciśnięty łyżek wody i idziemy dalej. Od czoła dotarła nieoficjalna wiadomość, że zmierzamy do schroniska „Szwajcarka”. Szczęśliwie ominęliśmy Krzyżną Górę. Ponoć wejście na nią też było w planie.

Wreszcie schronisko. Niestety, nie było nic normalnego do picia. Wyłącznie woda i jakieś soczki. Mówi się trudno. Napojeni i posileni, co poniektórzy powrócili do życia.

Kierownik, chyba po raz pierwszy tego dnia spojrzął na zegarek. Teraz to się dopiero zaczęło. Mieliśmy się pospieszyć, by zdążyć na ostatni pociąg który miał nas zabrać ze stacyjki Trzcińsko do Ciechanowic.

Tempo marszu, a właściwie marszobiegu szalone. Sztywniejące nogi, prawie nic nie widzę.

Jakaś piekielna, nie kończąca się łąka z trawskiem do piersi. W trawsku oczywiście wszystko co żyje, gryzie i kłuje.

Wreszcie wyłazimy z tego spotkania z przyrodą. I nagle widok niezwykle. W przepływającym Bobrze, wzdłuż którego brzegu zasuwamy, miejscowe niewiasty zażywają kąpieli ubrane zapewne w letnie stroje codzienne, czyli bieliznę.

Pławiły się, zadowolone, chichocząc rozpryskując wodę biustami i pełnymi ramionami. Ich spódnice układały się na rzece jako te barwne kwiaty. Kadr jak u Felliniego.

Dotarliśmy do stacyjki Trzcińsko, składającej się z napisu, peronu i szyn. Zdążyliśmy, za co otrzymaliśmy pochwałę od Matyjasza.

Po chwili relaksu na skraju peronu, z nogami na torach, leniwie nadjechał upragniony pociąg.

Jazda była krótka. Minęliśmy Janowice Wielkie i już wysiadka w Ciechanowicach. Dalej już tylko godzinny przemarsz do Wieściszowic. Nie zapisałem się na ten spacer, chociaż znaleźli się jeszcze jacyś nienasytzeni.

Zwiedzanie Ciechanowic rozpoczęliśmy od najbliższego sklepu, przy którym pod parasolami raczyliśmy się normalnymi napojami, zażywając rzeńskiego powietrza zbliżającego się wieczoru i rozmyślając o zasłużonej kolacji.

Po godzinie nadjechał swoim samochodem Kierownik i wróciliśmy do bazy.

Zosia, siostra miłosierdzia, nie próżnowała. Przygotowała dla utrudzonych wędrowców królewską kolację, uświetnioną jak się za chwilę okazało imieninami kolegi Jacka.

Niedzielny poranek, śniadanie znowu wykwiłtne, aczkolwiek niespokojne, wyczekiwanie co wymyśli Kierownik. Ulitował się i zarządził odwrót do Kalisza, ze zwiedzaniem po drodze piastowskiej siedziby książęcej w Bolkowie. Decyzję przyjęto z entuzjazmem.

Przedtem jednak asnykowski zastęp w odświętnym stroju i nastroju udał się do wieściszowickiej świetlicy, by głosować na prezydenta Rzeczypospolitej.

I tym obywatelskim akcentem pożegnaliśmy piękne Rudawy Janowickie.

Post scriptum. Po powrocie do rodzinnego miasta, miła pielęgniarka skutecznie usunęła wrednego kleszcza, pamiątki z łąki.

Antybiotykowa kuracja profilaktyczna, wreszcie spokojne wspomnienia.

Adam Borowiak